



Scena ogólna aktu I *Ich czworo* w reżyserii Marii Wiercińskiej i oprawie scenicznej Zenobiusza Strzeleckiego. Premiera odbyła się na Scenie Kameralnej 29.IX.1960 r.

Kazimierz Wierzyński:

«ICH CZWORO»

Właściwie jest ich dwoje, nie czworo. Dwa ludzkie owady, obojga płci, ona i on, żona i kochanek. Obraz ich życia i namiętności, ostro rysowany przez Zapolską, stanowi mistrzowskie studium z dziedziny entomologii ludzkiej. Insekty poddane obserwacji scenicznej należą do pospolitego robactwa; jest ono tym bardziej odrażające, że nie kryje się w ciemności świata i rozpęta się po nim w świetle dnia.

Ludzkie owady są przede wszystkim głupie. Jej głupota jest zaczepna i wojująca, jego uległa i tchórzliwa. Jej głupota ma siłę i tupet, nie przyznaje się do klęski, nie ustępuje przed żadnym dowodem i przekonaniem, gotowa jest nawracać świat na swoją wiarę. Jego głupota nie



SZWACZKA O! niech pan takich min nie robi. To my starzy znajomi. A potem, ja wiem wszystko! Pani mi wszystko mówi...
Pan niepotrzebnie znów wdepnie.
(Scena 6 aktu I: Zofia Komorowska – Szwaczka i Wierzyśław Gliński – Kochanek.)

zawiera tej grozy, jest obłąskawiona, rada i szczęśliwa z samej siebie. Dla niej głupota jest fermentem, dla niego smakowitym rarytasem; ona kipi głupotą, on lubuje się w niej i ptawi w jej błogostanie.

Owady łączy ze sobą miłość. Zapolska przedstawia ją słowami i czynami, w których nic zmienić ani przestawić nie można. Z uczucia kochanków przemawia sam instykt biologiczny; sceny miłosne tej samczej pary mogłyby rozgrywać się w każdej kryjówce zwierzęcej.

Oto sprawcy „tragedii ludzi głupich”.

Czy aby tragedii? Trochę na nią w tej sztuce za ciasno, trochę w tej ciasnocie za duszno. Robactwo ludzkie oblega życie dwojga innych ludzi, ojca i córeczki, którzy dopełniają czwórki wymienionej w tytule. Studium psychologiczne uzupełnia się przez ten kontrast o tło społeczne i obyczajowe, które w żywej i wciąż świeżej komedii Zapolskiej najbardziej uległo działaniu czasu.

Trochę przesolił tu sam majster. Aby w żonie i kochanku obniżyć wszystko ludzkie możliwie najbardziej, Zapolska przeciwstawiła owadziej parze „człowieka z prawdziwego zdarzenia”. Karambol ten zmienił się dziś na kalambur. Uczciwy mąż jest tylko safandutą. Tamci wobec jego pastorskiej powagi i kaznodziejstwa trąca groteską.

„Tragedia” mija nas obojętnych, komedia budzi szczerzy podziw. Pod jej znakiem kończy się panopticum płaszczyzny człowieka. Na gruzach rozbitego małżeństwa szuka żeru nowa odmiana dulskiej głupoty: uśmiechnięta szwaczka, chytra i przebiegła dobroć, świętofranciszkańska hiena.

Sztuka podbija słuchacza niewyczerpanym bogactwem talentu Zapolskiej. Nastrój tej nowej „komedii kołtuńskiej” jest nie do odparcia. Co za precyzją, jaka pewna ręka w tym przyrodniczym rozbiorze stęchlizny, obmierzłości i ciasnoty duchowej! Jak upiornie wygląda na przykład wigilia w domu pana profesora – to święto tradycji i rodziny. Pokłócone małżeństwo wyrywa sobie córeczkę, nie kryje przed nią swego rozbicia, zarzuca się wzajemnie wyzwiskami. Za oknem przeciągają kolędnicy, rozbrzmiewa muzyka – w strasznym domu zapada złowrogie milczenie. Sceny te mają naprawdę przejmujący wyraz.

Czołowe postacie zbudowane są z niezwykłą ekonomią środków, a mimo to zdumiewają wyrazistością. Co za rozkosz dla aktorów!

(Recenzja wyjęta z tomu pt. W garderobie duchów. Książnica Atlas. Lwów.)